



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycyca główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

SZCZĘŚCIE.

Nie to jest szczęściem, co nam losy dadzą,
Ani użycie, ani posiadanie;
Czasem się z tego skarby nagromadzą,
Czasem się z tego pomoc szczęściu stanie,
Lecz będąc formą dla niego i władzą,
Jeszcze nie będzie owym ideałem,
Za którym ludzkość z namiętym zapałem,
W najwyższym trudzie, w najwyższej tęsknocie,
W łzach Magdaleny, w Chrystusowym pocie,
Ręce wyciąga i przez wieki goni.—
Niejedno życie tak się całe strwoni,
Niejedna wielka siła tak zmarnuje:
A przecież szczęście w swojej treści samej,
Jest tem jedynie, co serce uczuje.
Ile wierzymy, ile ukochamy,
Ile przed siebie ciśniemy nadziei,
Tyle wśród życia przemiennej kolei,
Z puharu szczęścia nektarów zaznamy.

POGA WĘDKA.

A więc przy tym Nowym Roku....

Należałoby przedewszystkiem od tego zacząć naszą gawędę, należałoby serce, jak to mówią—na dłoni położyć i życzeniami noworocznymi, według

starodawnego, poczciwego obyczaju—powitać czytelników.

Nieboszczyk *siedmdziesiąty siódmy* ułożył się do grobu nieplakany, nieżałowany, jak zły pan, co poddanym dokuczył; ciął—bo też dwiema swemi siekierkami bez litości i zastanowienia. Niech się tam chyba historia nim zajmuje, my *de mortuis* zamilczcie wolimy. Alboż—to gorszych nie chowaliśmy już w życiu?

Dostał więc świat nowego dziedzica, — *sursum corda!*

Aby tylko nie stało się z nami według przysłówia: „zamienił stryjek, na siekierkę kijek,“ bo pominałwszy, że przy tej zamianie dostałyby się nam aż dwa kije, to jeszcze uwzględnić wypada, iż przy takich ciągłych zamianach w latach przyszłych, nic-by nam już chyba więcej nie pozostawało, jak kij złamać na—krzyżek mogilny, a od tej strasznej chwili — od samej myśli o niej, broń nas Panie Boże!

Jeszcze na choinkach wesołe światła nie pogasły, jeszcze świat chrześcijański brzmi weselną pieśnią o Bogu, co się urodził dla odkupienia, pocóżśmy do światła dopuszczać dziś, gdy „wesoły dzień nam nastał?“

W imię tej wielkiej, ożywczej wiary chrześcijańskiego świata, powitajmy Rok Nowy, jak go z ufnością witali pod zapadniętą strzechą ojcowie. Da Bóg, będzie lepiej, tylko temu *lepszemu*, co ma przyjść pomagać sami musimy.

Więc pomagajmy!....

Pracujmy wspólnie nad tem „lepszem,“ od samego świtania w nowym dniu roboczym naszego żywota. Bezrobocie skończyć się musi klęską i upadkiem,—albo kijem żebraczym....

* * *

Nie w porę odzywamy się z nawoływaniem do pracy w tej chwili, w której książę karnawał skrzypki stroić zaczyna, i dziewięć długich tygodni ochocho wygrywać obiecuje.

Nasi filantropi, albo raczej ruchliwi przedsiębiorcy Dobroczynności publicznej przemyślują już oddawna nad tem: w jaki sposób dałoby się wyzyskać najlepiej ten czas szalonego wiru—na korzyść ubogich!

Szczęśliwi ci ubodzy!.... Dziewięć długich tygodni będą bogaci pracowali na nich w salonowych warsztatach, będą niszczyli kieszeń i zdrowie na maskaradach i balach, nudzili się na widowiskach publicznych, zaprzędawali może i zastawiali — aby w dobroczynnym celu zwiedzić wszystkie cztery sale podczas olbrzymiej tomboli. Biedni bogaci!

— Miłosierdzie jest bardzo przyjemną cnotą, mówiła nam dobrodusznie pewna dama, wróciwszy po trzydniowem poświęcaniu się w Bazarze, — ale też fatygująca nad wyraz, a żeby też przynajmniej dostało się nam, jakie uznanie za to wszystko!.... Gdzietam! Wszykanowano nas jeszcze, żeśmy rozmawiały po francuzku między sobą. Powiedz-że pan sam, czemużebym ja się odróżniła od zwyczajnej kupcowej, sprzedając jak prosta mieszczka za ladą jakieś tam fatalaszki, gdybym się chociaż moim drugim językiem nie odezwała od czasu do czasu?

— Tem, chcieliśmy już odpowiedzieć, że mówisz pani gorzej od niej.... swoim własnym.

Ale złośliwością niewiele się zyskuje w podobnych wypadkach, zwłaszcza wobec kobiet. Cóż one zresztą winny, jeżeli matki ich bonom i guwernantkom powierzały wielkie zadanie — kształcenia córek, a same może wówczas — tonęły w różowych, wonnych obłokach francuzkiego romansu.

Spiszemy jeszcze niejedno gęsie skrzydło w tym przedmiocie, „zanim zwyczaj mówienia po polsku“ w towarzystwie przywróconym zostanie.

Niedarmo poeta śpiewa: „pawiem narodów byłas i papuga!...“ z pawia nawet piór nie zostało, ale za to papug przybyło coniemiarą.

* * *



Ale powróćmy do filantropii. Stają tu przed nami dwie instytucje, które niejako prawem tradycji, jeśli nie zasług — wyrobiły sobie najgłośniejszą reputację w sztuce — jałmużniczej.

Towarzystwo Dobroczynności, w osobie p. Kazimierza Dobieckiego, a Przytulisko, w osobie p. Robaczewskiej, mają swoich pobudzaczy, których pomysłowości zawdzięczają największą część dochodów. Pan Dobiecki szczególnie traktuje swój obowiązek jako punkt honoru i przyznać mu trzeba, że umie uderzać w czułą strunę publiczności. Oby jej tylko najczęściej uderzaniem nie rozstroił kiedyś!

Słyszeliśmy, że zamierza on znowu urządzić widowisko dla dzieci na korzyść Dobroczynności. Owszem, niech się dziateczki bawią, jeśli to ma być połączone z pożytkiem bliźnich, żeby tylko same z tego jakiś pożytek odniosły.

Prawdę mówiąc, wolimy już ten projekt, aniżeli zeszłoroczną zabawę maluczkich na dochód Przytuliska urządzoną, gdzie małe kobiety i mali mężczyźni występowali w roli światowych figurek naśladowujących dorosłe towarzystwo ludzi dojrzałych.

Zdaje się nam, iż rok rozważy przyprowadził główną inicjatorkę tej zabawy do przekonania: jak wiele względów pedagogicznych przemawia przeciw urządzeniu podobnej spekulacji filantropijnej w tym roku. Daje to dochód wprawdzie niemały, ale któż skrupulatniej nad instytucje dobroczynne powinien uważać zkąd i jaką drogą ściągają grosz dla siebie? Nie należy wspomagać nikogo cudzą szkodą, a tem mniej szkodą moralną.

Pochwalamy zato jaknajszerezej projekt, oryginalny ze wszech miar i nader trafny, z jakim się podobno szanowna opiekunka Przytuliska nosi. Oto ma ona zamiar urządzić w tym roku coś odrębnego od tradycyjalnych „obrazów żywych“, przy których niektórzy recenzenci naszej prasy omal nie posnęli z nudów ostatnim razem.

Korzystając z jubileuszu Kraszewskiego, zamierza Przytulisko upiec swoją pieczonkę przy wielkim ogniu i poświęcić jeden wieczór widowisku złożonemu z samych utworów jubilata. Kraszewski jest komedyopisarzem, — więc program zamieściłby jedną z jego komedij; Kraszewski jest poetą, — więc deklamacja przedstawiłaby wyjątek z jego poezji; Kraszewski komponuje — możnaby zapoznać słuchaczy z jaką kompozycją jego; z prześlicznych powieści Kraszewskiego dałoby się powytwarzać piękne obrazy objaśniane odczytaniem odpowiednich wyjątków.

Słowem, możnaby (w dobrem znaczeniu) wyzyskać wszystkie strony talentu Kraszewskiego, złożony przytem całość oryginalną, nową a wiele sympatyczną.

Mówiono nam także, iż jeden z młodych a docieplnych pisarzy przerabia w tym celu wesołą humoreskę Wilkońskiego pod tytułem: „Kraszewski w Warszawie“ — na scenę.

Dobry to pomysł i rokujący świetne powodzenie, chociaż kosztem samego jubilata, lecz przekonani jesteśmy, że i on jeszcze dorzuciłby do niego jakąś myśl dobrą i szczerą radą pomógł celowi.

Trzeba się tylko zabrać rychło i energicznie do pracy.

* * *

Kiedyśmy wspomnieli o głośniejszych firmach dobroczynnych przypominających się kilka razy do roku ofiarnością publiczną, obowiązkiem naszym wspomnieć i o innych, należących chyba do kategorii „ubogich, wstydzających się żebrać“.

Mamy tu na myśli skromny, cichy, daleko od zgiełku miasta, pod Bożą i kilku dobrych ludzi opiekę tulący się, Zakład dla paralityków.

Musi to być i zasługa i rozkosz nielada pracować tak wspólnie z Panem Bogiem słabymi siłami około dobrego celu i nie odzywać się o pomoc do świata, — i gdyby nie to, że światła nie trzeba stawiać pod korzec, nie mąciłibyśmy spokojnej pracy ludzi dobrej woli niniejszą wzmianką, w której radziłyśmy wykazać, jak przy dobrych chęciach i energicznej woli można wiele bez hałasu i rozgłosu sztucznego dla dobra bliźnich uczynić.

Zacne nazwisko prawdziwego filantropa w czynienie, p. Feliksa Sobańskiego, zapisało się szacownie na akcie fundacyjnym tego pożytecznego zakładu, który obecnie przy ulicy Nowowiejskiej

podniósł się prywatną, skromną ofiarnością do wcale pokażnej nazewną instytucji. Trzydzięści sześć łózek mieści się dotychczas w zakładzie, a nie zbijano ich ani w teatrze, ani w salach koncertowych, ani na balach w resursie. Ludzka niedola znalazła przytułek i ulgę, bez szumnych reklam i rozgłośniejszej zachęty do ofiar.

Opowiadano nam z prawdziwym uznaniem, iż główny opiekun nie tylko hojną ręką obdarza zakład funduszami, ale i moralnie przyczynia się wiele do jego wpływów; może to niewłaściwie opowiadać czyjeś zasługi w ten sposób, ale dla przykładu powtórzyc się godzi, jak córki p. Sobańskiego przychodzą do zakładu uprzyjemniać biednym, schorzałym paralitykom czas głośnie czytaniem, a synowie grają w szachy i nauką zabawiają się z chorymi.

Człowiek czuje się prawie lepszym, kreśląc taki obrazek, tembardziej, że go kreśli z natury.

Niech tych kilka słów, poświęconych zakładowi dla paralityków, poleci go zasłużonej opiece tych, co mogą a chcą swoim groszem przyczynić się do prawdziwie dobroczynnego celu.

* * *

Koniec roku przeszłego upamiętniło Towarzystwo Kredytowe miejskie dwoma ważnymi faktami: nasamprzód uchwaliło założenie kasy przezorności i pomocy dla swoich urzędników, która jest już piątą z kolei w naszym mieście, — powtóre, uwzględniając ciężkie warunki utrzymania, podniosło etat swych pracowników o 15%.

Towarzystwa akcyjne mogłyby z tego ostatniego faktu wziąć przykład godny naśladowania. Taką podwyżką zaledwie o kilkanaście groszy unniejszy rublowe dochody panów akcyonaryuszy, a powiedzmy otwarcie — nie zdołał przecież jeszcze wynagrodzić ze wszystkim pracy żmudnej i ciężkiej, często najniewdzięczniej ocenianej.

Dla ubogich rodzin urzędniczych dodatek kilku rubli miesięcznie pokrywa nieraz wiele braków, ratuje od lichwy i niedostatku; a kto wie czy nie zwraca się na korzyść samych instytucyj finansowych, które przez takie zachęty zyskują wierniejszych i wytrwalszych pracowników.

Sprawozdania statystyczne zakładu rękodzielniczego dla kobiet wykazują, iż najwięcej uczennic zgłaszało się z klasy urzędniczych rodzin, szukając ratunku i pomocy w polepszeniu bytu materyalnego na drodze pracy fizycznej. Jeden to powód więcej, przemawiający do sumienia bogatych nabobów, kierujących losami — biednych urzędników instytucyj pieniężnych.

Lepiej w każdym razie małym datkiem wspomóc prawdziwie zasługujących u dołu, niż dać się wyzyskiwać niesumiennym pracownikom u góry. Doświadczyło tego niedawno temu Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, które i u nas miało swoje rozgałęzione stosunki; jeden z jego dyrektorów wybieranych więcej dla stosunków, niż własnych zasług — popełniwszy nadużycie w obrocie funduszów na 50,000 złr. ulotnił się bez wieści.

Nie podajemy jego nazwiska, szanując nieszczęśliwą a znaną w kraju rodzinę.

Sam fakt nieuczciwości notujemy dlatego tylko, aby pogłosem, obiegającym w naszym mieście o powyższym wypadku nadać właściwe znaczenie, nadmienając dla wiadomości interesowanych, że instytucja krakowska, rozporządzająca milionowym kapitałem zapasowym, nie dozna żadnego wstrząśnięcia skutkiem tego nadużycia.

Historja owego „pana Dyrektora“ odpłacającego się instytucji, która go podźwięła i podniosła, haniebną defraudacją, — powinna być przestroją dla wielu wyborców: jak ostrożnie należy swem zaufaniem obdarzać ludzi niedających swym charakterem żadnej uczciwej rękojmi, jakkolwiek za firmę służą im znane w kraju i przeszłości nazwisko, na lep którego tak często idzie poceziwa i łatwowierna dobroduszość.

* * *

Wspomnieliśmy o kassach przezorności i oszczędności dla klas pracujących. Z licznych projektów żaden jeszcze nie dojrzał dostatecznie. Nie od rze-

czy będzie tutaj podzielić się obcą myślą, z której kiedyś sami może skorzystać będziemy mogli.

Niejaki Teodor Faber, expedytor pocztowy w Danii, wystąpił z bardzo praktycznym projektem zbierania oszczędności.

Oto, aby podać wszystkim sposobność łatwiejszego oszczędzania nawet najdrobniejszych kwot, które w praktycznym życiu gubią się gdzieś, w kieszeni najuboższego nawet, bez pożytku, — proponuje on rządowi duńskiemu wydanie pewnej ilości marek na rozmaite małe kwoty, podobnie jak marki listowe lub stemple. Emissya takich marek oszczędności odnawiałaby się ciągle w miarę zapotrzebowania; przekupniom należałoby odstąpić pewien procent zysku.

Każdy chcący pożytecznie zaoszczędzić jaki taki grosz potrzebowałby tylko zakupić ze zbywających mu funduszów pewną ilość marek. Zebrawszy w tygodniu, lub w miesiącu tyle marek, żeby wartość ich stanowiła już mały kapitał zdalny do oprocentowania, właściciel ich stawałby się uczestnikiem rządowej kasy oszczędności, którąby, w odpowiednio urządzonych biurach, prowadziła kontrolę tych przypadkowych wkładek i każdemu zgłaszającemu się wydawała książeczkę, zaciągając w nią za każdym razem wartość przedstawionych marek oszczędności.

Odpowiednie urządzenie administracyi ułatwiłoby wszelkie manipulacje w tym względzie. Moglibyśmy w ten sposób robić oszczędności na każdym kroku, zmieniając grosz przeznaczony na zatrącenie lub zmarnowanie w to małe ziarnko, z którego zbierają się duże miarki.

Moglibyśmy oszczędzać nie czując nawet tego, — moglibyśmy gdyby i nam podobnie jak Duńczykom dano do tego sposobność.

Może i to kiedyś nastąpi.

SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Był to dzień czerweowy, wieczór spokojny a powietrze parne. Słońce zachodziło, jakby na ślotę i burzę, bo pod nim widać było ciemne chmury, wychylające się już znad widnokręgu, pozarysowane ostro, wspinające się do góry, światłem jaskrawem, jakby złotem i galonami, obramowane.

Wśród ciszy wieczoru drzewa stały jakby uspio- ne i zmęczone skwarem, tylko niekiedy przebiegał je jakiś dreszcz dziwny. Liście szeleściły żywo, i wnet wracały do dawnego spoczynku. W tej porze dnia zwykle i po dworach eicho jest a głucho, mało się co porusza. Ale tego wieczora niezwykle, gorączkowy ruch panował w Sierhinie u p. Strukczaszycy Hojskiego.

Zdala nawet przechodzący mógł poznać, iż się tu coś nadzwyczajnego wydarzyć musiało. Z folwarku do dworu, ze dworu na folwark biegali ciągle ludzie, jakby potraciwszy głowy, spotykając się i niewidząc, potrącając w drodze, zarzucając pytaniami, na które nie czekali odpowiedzi.

W ganku czasem ukazywali się: to ogromnego wzrostu mężczyzna w białym kitlu, podpasany skórzanym pasem, w którym łatwo było poznać Strukczaszycę — rzucił kilka wyrazów tonem nakazującym i zniknął; to, w czepku białym, jejmość, machająca rękami, załamująca dłońie i nawołująca sługi, poczem zniknęła natychmiast w głębi domu.

Kupka ludzi stała przy stajni, rozpowiadając coś żywo, ruchami okazując jakby niedawno odbytą bitkę. To głosy się ożywiały i podnosiły z wrzawą, to znowu spojrzenie na dwór i obawa jakaś a dawane znaki zmuszały do uciszenia i rozmowy na ucho. Całkiem jednak zaprzestać nie mogli ludzie wypytwać i rozpowiadać — bo widocznie jakaś ich gorączka opanowała. Starsi chodzili, mrużąc i sci-

skajac pięści; młodszy niemal porywali się do siebie, sprzeczki wiodąc.

Tymczasem ruch około starego dworu nie ustawał. Wyszedł z niego wąsaty ekonom z czapką pod pachą, jakby pijany, ocierając pot z czoła; westchnął i, niemogąc iść dalej, przypadł zaraz w gan-ku na ławie, w postawie tak znękanego człowieka, jakby mu się największe nieszczęście trafiło. Siadłszy, patrzył przed się oczyma osłupiałemi, i raz poraz ciężko wzdychał, jęczał prawie.

Od stajni oczy kupki ludzi zwróciły się ku niemu; łokciami dawano sobie znaki, spoglądając na niego.

Chłopakowi kredensowemu z podgoloną głową ekonom kazał sobie wody podać, a gdy ten mu szklanek przyniósł, wychylił ją jak naparstek.

— Daj-bo karafkę! — mruknął.

Chłopiec, posłuszny, wyniósł spory kufel, który ekonom nalewając sobie chciwie, szklanka po szklance, wychylił prawie cały. Teraz dopiero zdawał się przychodzić do siebie, obejrzał się po odzieży, nieco pomiętej, ale całej, ręką powiódł po głowie i twarzy, przypatrując się dłoni, jakby na niej krwi szukał. Tej nie było; ale sińców kilka miał na czole ekonom, które mu znać dolegały, bo je pocierał.

Potem, oburącz na ławie się oparłszy, zapatrzony w podłogę, czas jakiś nieruchomy pozostał.

Nie widział nawet przesuających się ciągle mężczyzn i kobiet, które zukosa, wymijając ławę, przypatrywały mu się.

Dobra chwila upłynęła tak, gdy, wprzód już widziana w gan-ku kilkakrotnie, jejmość w białym czepcu znowu się w progę ukazała.

Była to kobieta lat średnich, słusznego dosyć wzrostu, silna, nie chuda ani otyła, twarzy ogorzalej i zarumienionej, której policzki czerwone żyłki jakby siatką okrywały — z nosem rzymskim, z oczyma bystremi czarnymi, — niegdyś pewnie piękna, dziś tylko odznaczająca się wyrazem energii i żywością wielką. Ubiór jej, acz bardzo staranny i ezysty, niewykintny był i starą skrojony modą. U pasa miała klucze, a u boku wielką kieszeń, w jaką czasem troskliwie gospodynie opatrywały się na kłębki, naparstek, nożyczki i niezbędne narzędzia do rozmaitych zajęć dnia powszedniego.

Kobieta wysunęła się ze drzwi, z oczyma zwróconemi ku folwarkowi, z widocznym zamiarem zawołania kogoś, gdy zobaczywszy pogrążonego w myślach ekonom, zwróciła się, ręce załamując, ku niemu.

— Panie Morawiec! panie Morawiec, na rany Chrystusowe! — zawołała porywco — jak waćpan mogłeś to to pozwolić?

Ekonom, który nadechodzącej ani postrzegł ani posłyszał, zerwał się jak ze snu przebudzony.

Ruch jego był tak gwałtowny, że ława zadygotała pod nim i opadła z hukiem. Osowiałe oczy zwrócił na pytającą.

Ręce złożył obie na piersiach i oczy zaczerwienione wznosił ku oczekującej odpowiedzi.

— Niech mnie Bóg sądzi! zawołał głosem schrypłym i jęczącym, w którym czuć było, że się wprzód zmógł krzykiem nad siły — niech mnie Bóg sądzi! Co było począć? jak wpadły na nas te chamy, jak się to zważyło, panicz chciał rozzbrajać i uspakając, puścił się między bijących. Ja, trzymając go za poły, zaklinając, biegłem z nim, kroku nie ustępując. Chłopstwo się rozjadło, że już nikogo nie respektowało. Co się mnie dostało, i po łbie i po plecach, niech to będzie na chwałę Bożą, ja tego nie liczę. Wszak prawie na rękach, zaślaniając sobą, wyniosłem panicza.

Tu na chwilę umilkł, bo mu głosu zabrakło, zakaszłał się, ręką czoło ostonił.

— Paniczowi-bo w głowie było, że racjami chaków zreflektuje! Gdzie to kto słyszał! A prosiłem, a zaklinałem. — Nie nie pomogło, jak się uparł!

Wszakże to nie pierwszy raz na Osowcu do bójki przychodzi. Powtarza się to co roku, jak ludzie zapamiętają. Skosim my — napadają na nas Łopatycy chłopci, skoszą oni — my musimy iść na nich, aby pretykatu nie było.

Co ta dyferencya już krwi ludzkiej i zdrowia kosztuje, — na wołowej-by skórze nie spisał.

Słuchająca westchnęła silnie.

— Brat mój tego nie daruje! — odezwała się, nogą uderzając w podłogę.

Ekonom z głębi piersi jęk wydał stłumiony.

— Tak, bąknął — hm! obdukcję sprowadzić! tak! i przyznać się, że chamy syna jegomościnego śmiały kijmi tłuc! Hm!

Mówili jeszcze, gdy, w białym kitlu, z podgoloną głową, z wąsem siwym sumiastym, z twarzą ogromną, surowego wyrazu, na progu ukazał się Strukezaszyc. Jejmość dała znak ekonomowi, który ku ławie się cofając, wyprostował się i przybrał minę smutną.

Strukezaszyc, w tej chwili wyglądający w istocie straszny jak sędzia, z brwiami namarszczonemi, z ustami zacisniętymi, nigdy pono nie miał fizyognomii łagodnej. Na posępnem tem obliczu, po-fałdowanem brzozy głębokimi, trudno sobie wesołość wyobrazić było. Natomiast straszny, groźny jakiś spokój, oznaka niezmierniej siły panowała na niej. Nawet gwałtowne wzruszenie, jakiego teraz doznawać musiał, nie zdołało zachwiać męż-twem żelaznem tego człowieka.

Zbliżył się krokiem poważnym do Morawca, nie patrząc na siostrę, która się nieco wycofywała — i po chwili namysłu, począł mówić głosem stłumionym, napozór spokojnym.

— Słuchaj, Morawiec — jak to było? mów świętą prawdę? — jak?

— Jaśnie wielmożny panie, wybuchnął ekonom, Panie Boże bądź świadkiem duszy mojej, ja, — ja nawet powiedzieć nie umiem jak to było. Chłopi Łopatycy wpadli z kijmi, grabiami, kosami na naszych: nie pierwsza to i nie ostatnia bójka na Osowcu. Chamy, bywało, się poczubia, pokrwawia i — tyle. Panicz koniecznie chciał ich rozrywać i wstrzymywać. Gdzie to kto widział, jak się chłopstwo rozjuszy! Prosiłem, błagałem, uczepiłem się za poły — gdzie! ani słuchał. No — wpadliśmy wśród tych bestyi! — a co mnie się dostało — co nieszczęśliwemu paniczowi, albo ja wiem! Dopiero gdy się p. Erazmowi noga powinęła na kępinie i padł, a te juchy z kijmi na niego siać chciały, tom go sobą ostonił i prawie na rękach wyniósł.

Morawiec, któremu łzy z oczu ciekły, rozplakał się na prawdę. Strukezaszyc słuchał błąd, tylko mu usta coraz głębiej zapadały i pot z czoła ciekł. Nie odpowiadał nic.

— Był kto ze dworu? — spytał.

— A pewnie, że byli! Ekonomia Sliwkę sam widziałem jak rękami machając, poduszczał i żgał, a ten niekzemnik, smarkacz pisarz Bracki, chłopów prowadził.

Strukezaszycowi oczy błysnęły; nie powiedział nic; stał jak wkuty czas jakiś.

— Proszę jaśnie pana, wyrwał się Morawiec — ma być obdukcya, to niech będzie na mnie. Plecy mam całe zbite, sińce i guzy na głowie, a panicza do obdukcji stawić, żeby ludzie gadali, iż go chłopci kijmi bili — to nie może być! to nie może być!

Strukezaszyc jeszcze stał niemy.

— Ja obdukcji żadnej nie potrzebuję — rzekł powoli cedząc wyrazy. Erazm wpadł niepotrzebnie: jak człeka pies pokąsa, a pijany chłop pobije, nikt się nie skarży. To sprawa między mną a Łopatycami, wpiszę się Czemeryńskim na rejestr. Odsłużemy inną porą — odsłu-że-my.

Siostra, słuchająca, na boku i ekonom — zadrżeli, gdy ich uszu doszło to — od-słu-że-my, bo stary pan wypowiedział ten wyraz z flegmą jakąś, tak straszliwą, tak groźną, iż krew się zdawała tryskać z każdej sylaby.

— Żadnej obdukcji nie będzie — to domowa sprawa, ciszej dodał Strukezaszyc.

I spytał: poczekawszy nieco:

— Siano zabrali?

— Przeciagnęli na swój hrud, poza dyferencyę — rzekł cicho Morawiec.

— Wiele tam było ludzi? — badał dalej spokojnie Strukezaszyc.

— Kat ich policzy. Tam musieli być chyba nie sami Łopatycy, ale z Wólki, z Kostużyna i Zabłocia, zamruczał Morawiec.

Strukezaszyc się zamyslił i obejrzał ku słońcu, które już było spuściło się za czarną chmur ławę. Gdzieniedzie tylko, przez rozszarpane jej strzępy, blask się dobywał jaskrawy. U góry obłok siny piętrzył się zaokrąglonemi jakby pagórkami, których kształty szybko się mieniły. Popatrzywszy na chmurę, rzekł Strukezaszyc powolnie:

— Niema co, trzeba na swoim postawić. — Hm? mocno się czujesz pobitym? możesz na koń siać? Morawiec się ruszył żwawo.

— A czemu nie. Co tam, pobity czy nie pobity. Jak trzeba to trzeba. — Niema rady.

— Weź acan baryłkę wódki ze śpiechrza — rozumiesz — rzekł spokojnie Strukezaszyc.

— Rozumiem.

— Ludzi zwołać do karczmy, co żyje. Co żyje, ciągnął dalej stary. Grabie, cepy, kosy niechaj zabiorą, kto ma. Ale żeby mi wyszli do nogi. Dać po kieliszku, dać po dwa, niechaj baryłkę wypiją. Zanoszą się na burzę, tem lepiej; siano trzeba zabrać, bodaj w błoto je wmieścić, zniszczyć, ale dać im się niem cieszyć — nigdy w świecie! Cicho iść lasem i zarosłami, juści oni całą noc tam na straży stać nie będą. Jeśli stróże jacy się znajdują, powiązać, pokneblować i rzucić na błocie.

Morawiec ręką machnął, dając znać, że on to wszystko wie i rozumie.

— Toć to nie pierwszyna — zamruczał.

Ruszył się natychmiast, spełniając rozkaz pana. Strukezaszyc zadumał się i dodał w półgłosie:

— Jak którego pobijecie — niema co — żalować ich nie będziesz.

Morawiec pięść podniósł do góry, pokłonił się, i choć ruch dał mu uczuć ból w kościach, nie syknawszy nawet, żwawo dosyć ku folwarkowi się posunął. Przed końcem rozmowy, panna Strukezaszanka weszła już była do pokoi. Na prawo z sieni, w obszernej izbie, którą zwykle zajmował syn gospodarza, pan Erazm, świecy jeszcze nie było. Dwoma oknami od dziedzińca wpadające światło oblewało ją szarym półmrokiem, który po kątach już się w zupełną ciemność zamienił. Pokój to był kawalerski, z łóżkiem skromnem bez pawilonu, naprzeciw okien, z szafą i kilku stołami, ze strzelbami i przyborami myśliwskimi, rozwieszonemi na ścianach. Nad łóżkiem wisiała owalna blacha, z wizerunkiem Matki Bożkiej, z gromnicą wstążką przepasaną i palmą Kwietnej Niedzieli. Pod nią maleńki krucyfiks rozciągał ramiona nad głowami. Na łóżku okrytem skórą łosia i koldrą wełnianą, leżał, z rękami pod głowę podłożonemi, młody panicz, w którym się jeszcze widać burzyło wszystko, bo się rzucał niespokojnie.

Pocichu na palcach poczęła się zbliżać ku niemu jejmość, jakby go posadzała, że mógł usnąć.

Postrzegłszy, że się poruszał, zapytała:

— Nie śpisz.

— Ale, gdzie mnie tam do snu, — zawołał leżący — we mnie jeszcze wszystko kipi.

— A boli cię?

— E! to tam i mówić niema o czem — odparł leżący. — Sam-em winien, a ludzie nie, bo im się bić mnie pewnie ani śniło, ani chciało — alem wpadł. — Nawet nie jestem pewnym czy rana na rękę kosą przecięta, od cudzego człeka czy od swoich. Chciałem ich przywieść do rozumu.

— Ale także-boś się wdał — poczęła Strukezaszanka. — Po co ci się było w to mieszać? — Chłopy się coroku tam tłuką, to ich rzecz.

— No, co ciocia chce, nie mogłem wytrzymać, — żywo mówił leżący. Taką mam naturę, że na bójkę patrzeć z zimną krwią nie mogę. Po co się bić, na co, przecież gdzieś jest prawo, sąd, sprawiedliwość.

Tych wyrazów domawiał, gdy niespodzianie ojca stojącego z rękami w tył założonemi spostrzegł przed sobą. Zamilkł nagle.

Strukezaszyc zdawał się chcieć słuchać dalej. Ciotka cofnęła się zaraz do stolika, na którym leżały płatki w kilkoro poskładane i jakieś medykamenty.

Moment długi dosyć panowało milczenie.

Wtem stary, jakby na ostatnie wyrazy syna, dłużnym był odpowiedź, zaczął zcichą, ze zwykłą sobie flegmą i udanym spokojem.

— A tak — tak, jest gdzieś prawo, sąd i sprawiedliwość. Musi gdzieś być. Niewątpliwie — tylko nie u nas. U nas zeszło na pięści i na to — kto kogo zmoże.

A juści sprawiedliwość gdzieś musi być, ale się pod te czasy schowała. Do sądu iść z panem sędzią Czemeryńskim, który ma i wioskę dużo i przyjaciół wielu, i kolligatów i potentatów za sobą, to jakby pieniądze w błoto wrzucać.

Ja z nim nie wygram nigdy, a dokuczać mu mo-

gę zawsze i muszę. A no, muszę, wiałby mi Osowiec, dalej zabrałby Gordziszczę i Kuliki i las, i wiałby mi pod stodołę — na to niema rady! Bronić się muszę!

— Ja — tam na te rzeczy, proszę ojca dobrodzieja, rzekł cicho Erazm, rozumu nie mam — ale...

— I, póki ja żyję, mieszać się też do tych spraw cale nie masz potrzeby. Po co? na co ci było leżeć, palce kłaść między drzwi, — mówił Strukezaszyc — jak mnie na świecie nie stanie, rób sobie co zechcesz, lecz póki ja żyję, zostaw to mnie.

— Kiedyz — bo się tłukli, aż strach! począł Erazm.

— A tobie to co szkodziło że się oni tłukli? odparł zimno stary. — Niech się świat poleruje, niech się chamy za łeb wodzą, ażebyś ty miał pocziwają krew szlachecką rozlewać...

Zymną ramionami stary.

— Przecież to ludzie — rzekł pocichu Erazm.

— Jacy ludzie? — przerwał Strukezaszyc niegdy gorącej i splunął.

Odszedł kilka kroków zamysłony ku oknu. Korzystając z tego, ciotka się zbliżyła z namoczonym w winie płatkami.

— Krew z rany nie płynie? — zapytała pocichu.

— Zdaje się, że nie — szepnął leżący.

— Ale na stłuczeniu trzeba płatek odmienić.

Zabierała się do tej operacji, gdy, od okna się odwróciwszy, Strukezaszyc zapytał:

— Nie widziałeś, nie poznasz który cię — to kosa smagnął?

— Proszę ojca kochanego, począł ranny, ja — bo nawet nie wiem czy Łopatycy który, czy nasz. Rana nie głęboka; niema o czem i mówić.

— Zawsze krew — odparł Strukezaszyc — a za krew, i to jeszcze szlachecką, musi popłynąć krew. To nic nie pomoże.

Mówił to z flegmą, ale z taką stanowczością, że się nawet opierać mu nikt nie śmiał.

— O tem — bo niema co i mówić — powtórzył cicho p. Erazm.

— Tak — ale ludzie widzieli i gadać będą — rzekł Strukezaszyc. Dziś tam w Łopatyczach wielki tryumf nad nami zapijąć będą. Hm! hm! Sliwka dostanie konika w podarku, a Bracki pasik i sukno na kontusz. Ludzi popoją. Niech się cieszą — póki my za swoje nie oddamy.

Bo — oddamy, jak Bóg na niebie. Odda — my — rzekł Strukezaszyc.

Mrok był coraz gęstszy w izbie, lecz z dalekiej chmury na zachodzie poczynała błyskać i kiedyniekiedy blade światło błyskawicy rozświetlało izdebkę.

Panna Strukezaszanka, która i nie lubiła burzy i obawiała się jej, zażegnywała ją, pocichu coś szepcząc.

— Tego jeszcze brakło — odezwała się, żeby na noc burza przyszła.

— A, niech idzie! niech idzie. Ja jej rad jestem — rzekł, patrząc w okno Strukezaszyc.

— Co — bo panu bratu się stało! zdumiona prze-rwała, panna Strukezaszanka. Siano i na pokosach i w kopach.

— Niech je licho porwie — zawołał gospodarz. Co mi siano!

Było to tak niezrozumiałem dla siostry, że aż ramionami ruszyła.

— Dałbyś — bo brat pokój, licho wyzywać. To się nie godzi.

W tej chwili zagrzmiało w dali, Strukezaszyc ręce zatętnił, a panna przeżegnała się.

— Ot lepiejbyś asińdzka poszła i kazała kadzie pod rynnę popodstawiać na wodę deszczową, bo po tem będzie kweres o mięką wodę, a dziś ulewę nam Pan Bóg da, co się zowie.

— Co — bo pan brat prorokuje takie rzeczy. Może chmura przejść bokiem.

— Ja nie chcę żeby bokiem przechodziła, zakończył stary.

Wtem błyskawica jaśniejsza niż poprzednie rozświetliła nagle pokój cały, i prawie natychmiast rozległ się potężny łoskot piorunu.

W szyby okien poczynały bić ogromne krople deszczu, — ciężkie, zwiastujące nadchodzącą już ulewę, wichry i gromy.

Panna Strukezaszanka wychyliła się przez drzwi, wołając:

— Okienne zamykać!

Strukezaszyc stał wprost zwrócony twarzą do

okna i zdawał się lubować nadciągającą flagą, czego siostra zrozumieć nie mogła.

W podwórzu słyhać już było, nagle szumieć poczynające, drzewa; wiatr się zerwał gwałtowny, okienne stukały, krople spadały gęsto coraz. Błysk za błyskiem gonił i grzmot za grzmotem.

W domu biegali wszyscy, zamykając drzwi, szrubując okienne, znosząc pod dach co stało na dworze. Strukezaszanka modliła się; pan Erazm leżał ze spuszczoną głową; Strukezaszyc, dopóki okienne nie pozamykano, wpatrywał się, z jakimś ukontentowaniem, w nadciągającą szybko chmurę, z której już zaczynały lać deszczu potoki, pomieszane z gradem. Na dachu słyhać było stukot kulek lodowych, które w gonty uderzały.

Wniesiono światło i zadumany gospodarz od okna zwrócił się ku synowi, wejrzenie pełne czułości topiąc w milejącym chłopaku.

Pan Erazm zdawał się na łóżku spoczywać więcej przez posłuszeństwo niż z dobrej woli. Rękę miał jedną, wprawdzie obwiązaną, na płachtach trochę krwi przeciekającej widać było, był może potłuczony, — lecz w twarzy więcej niepokoju pawało niż cierpienia.

Chłopak był śliczny, trochę do ojca podobny, lecz twarz surowa Strukezaszycy w tej nowej transfiguracji zyskała, wyszlachetniała, myślą jaśniejszą świeciła. Rysy też same delikatniejsze były, wyraz ich odmienny. Na twarzy ojca ponura i zamknięta w sobie energia pokrywała wszystko twardą jakąś, nieprzenikliwą zasłoną; u syna życie wewnętrzne tryskało oczyma, chciało się dobywać wargami, drgało we wszystkich mięśniach ruchomego lica. Oprócz tego, że był pięknym, pan Erazm, miał w sobie coś szlachetnego, rycerskiego, i — całą kwitł młodością.

Można mieć lat dwadzieścia kilka i być starym, albo nie umieć nosić młodości; pan Erazm jeszcze miał jej tyle w sobie, iż ani mógł, ani — by potrafił ukryć życia które w nim wrzało.

Widocznie — przymusowy spokój terazniejszy był sprawą ojca i skutkiem nakazu jego a prośb ciotki; gdyby nie to, Erazm — by był dawno zerwał się, i choć ruchem żywym dogodził niepokojowi i niecierpliwości. Ale panna Blandyna, gdyż takie było imię Strukezaszanki, urodzonej w sam dzień tej patronki, dnia 21 Maja, — przymusiła siostrzeńca do leżenia, będąc pewną, iż to ranie było potrzebnem.

Strukezaszyc też, niespokojny o syna, spoczynku tego wymagał.

Szczęściem owa rana w zamieszaniu kosą zadana, wcale ciężką nie była; trochę z niej krwi uszło, lecz skóra tylko była przecięta.

W pierwszej chwili chciano posłać po felczera do Kobrynia, na gubernię, ale pan Hojski, który z szabli miał nieraz do czynienia i ran się napatrzył, uznał, że się bez felczera obejść było można wylęczeniem. I jakkolwiek mu szło wielce o zdrowie syna, nie radby był felczera wzywać, aby historia owej bójkki z chłopami się nie rozchodziła.

Postanowiono więc domowymi środkami dawać radę, a panna Blandyna upewniała, iż byle jej słuchano, przy pomocy plastra, który miała po nieboszczyku Strukezaszym, rana się przeciwno zagoi.

Burza szalała na dworze; gospodarz, na chwilę tylko wyszedłszy popatrzeć na nią z ganku, powrócił i siadł przy synu, a Strukezaszanka odprawiała modlitwy. Z wieczera się musiano wstrzymać, gdyż w taką ulewę półmisków z kuchni do dworu nie było sposobu przenosić. Nikomu się też jeść nie chciało, oprócz może pana Erazma, a tego ciotka zyczyła sobie skazać na dytę.

Ulewa, w pierwszej chwili nadzwyczaj gwałtowna, zaczynała się już zmieniać w deszcz spokojny, ale nadzwyczaj rześysty. Pioruny, które zrazu jeden po drugim były gdzieś w otaczające drzewa, kiedyniekiedy tylko padały i to coraz się oddalając. Chłopak z podgoloną głową przyszedł zapytać: czyby nie podawać wieczerzy? Strukezaszyc go zbył milczeniem, lecz konieckońców przynieść ją kazano na przeciwek do izby stołowej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KORRESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Lwów w Grudniu 1877 r.

Dziesięć lat nie minęło jeszcze od czasu kiedy kobieta w Galicyi nie była niczem innym tylko kopciuszkiem ogniska domowego i wdzięcznym pieścielkiem salonu. W ciągu tych lat dziesięciu, dzięki echem podniesionej na Zachodzie sprawy kobiecego stanowiska na polu pracy społecznej, dzięki utworzeniu w kraju naszym rady szkolnej, która sprawę szkolnictwa krajowego podniosła do rzędu najżywotniejszych potrzeb chwili, dzięki powstaniu Towarzystwa pedagogicznego, które po miastach prowincjonalnych w własnym koszcie pootwierało szkoły wydziałowe żeńskie, rodzaj gimnazjów, dzięki narreszcie obywatelskiej inicjatywie kilku kobiet we Lwowie, które, jak niespożytych zasług pani Felicja z Wasilewskich Boberska i pani Stefania Wechslerowa, podniosły u nas, w najzdrowszym duchu, sprawę kobiecego wykształcenia, — poziom umysłowy naszych kobiet podniósł się tak znacząco, że siła tej reformy, tak szybko a tak prostymi środkami dokonanej, każdego myślącego spostrze-gacza uderzyć musi.

Obecnie zapał naukowy, jaki panuje w naszych sferach kobiecych, poczyna inne budzić obawy. Z otwarcien. seminariów żeńskich w Galicyi rzuciła się ku nim cała młodzież żeńska uboższej warstwy, uważając nader słusznie, że zawód nauczycielski dla umysłu i temperamentu kobiecego jest najwłaściwszym polem działania pożytecznego dla kraju, a zaszczytnym dla pracowniczki. Toteż seminaria nauczycielskie żeńskie są przepelnione, a liczba kobiet składających corocznie egzamin nauczycielski o znaczny procent przewyższa takąż liczbę mężczyzn.

I jakże jest los takiej egzaminowanej nauczycielki obecnie w kraju? Posiadamy szkół ludowych 2,972, ale w tej liczbie otwartych i czynnych znajduje się tylko 2,450; około przeto 500 szkół jest zamkniętych, — jedynie dla braku sił nauczycielskich męskich. Omal nietylko znajduje się obecnie w kraju kobiet, które ukończyły seminarium i przy zupełnej kwalifikacji nauczycielskiej wyczekują na posady. Jak widzimy, wytworzył się w ten sposób weale liczny zastęp proletaryatu naukowego w sferach kobiecych, proletaryatu ze światłem wiedzy w głowie, ale bez istotnej możności zapracowania na własny kęs chleba. W ten sposób wartość nauki zaczyna być niebawem w tych kołach podawaną w wątpliwość i bliższy już jesteśmy chwili, w której począć się może reakcja bardzo szkodliwa i bardzo upakarzająca dla społeczeńści, niemogącej dostarczyć odpowiedniego zajęcia szlachetnym adeptkom wiedzy. Obecnie tak rzeczy stoją, że egzaminowane nauczycielki obejmują posady wyłącznie w szkołach wydziałowych i ludowych miejskich, tudzież w tych kilku seminariach żeńskich, które Galicya posiada, oraz w połączonych z nimi szkołach ćwiczeń.

Zdaniem naszym, stosunek taki powinien uleść zmianie. Nie lubimy stanowisk skrajnych w żadnej ze współczesnych kwestyj społecznych, gdyż żywimy przekonanie, że kwestye te dadzą się pomyślnie i ku ogólnemu pożytkowi rozwiązać jedynie na drodze powolnych i stopniowych ulepszeń obecnego stanu rzeczy. Dlatego i w sprawie naukowego spożytkowania zdolności kobiecej w zawodzie nauczycielskim ujawnionej, nie należymy do tych, którzyby radzi kobiecie ujrzyć coprędzej na katedrze uniwersyteckiej, i to jeszcze, według mody dzisiejszej, z nożem anatomicznym w dłoni. Bo i to jest dziwnym objawem, że ilekroć w Ameryce lub w Anglii kobieta zapagnie wstąpić na tę katedrę, nie wybiera przedmiotów licujących z naturalnem jej usposobieniem umysłowem, nie zwraca uwagi swej na pola naukowe, na których umysł jej bystry i estetyczny mógłby zajaśnieć samodzielną twórczością i do skarbcza mądrości ludzkiej dodać perły, które z głębin ducha ludzkiego najszlachetniej wydobycie subtelnością umysłowi kobiety, — weźmy tu na uwagę choćby cały przestwór nauk literackich i estetycznych, — ale ima się przedmiotów, które pozostać — by powinny na długo jeszcze, a kto wie, czy

kiem schodzi znowu w te góry i przypomina sobie że go w tej romantycznej okolicy kochała jakaś piękna dziewczyna. Za chwilę potem, oparty artystycznie o krawędź okna, śpiewa przy brzęku gitary piosenkę miłosną, a gdy ją kończy, spostrzega omdloną Nelly, która właśnie powróciła od ołtarza, związana ślubem z kim innym.

W scenie poznania, potęga ognia Nelly, galwanizuje cokolwiek młodzika; gotów już nawet zgodzić się na proponowaną mu przez nią ucieczkę, i w chwili gdy ona oddala się po zabranie niektórych rzeczy, on komunikuje plan ten przyjacielowi. Przyjaciel, w dyalogu niezbyt trafny i wyszukany, nakazuje mu rzec się jej i uciekać *solo*.

Bez wielkich wysiłków zdołał go przekonać — i gdy biedna Nelly wychodzi, zastaje, zamiast wrzących uścisków, zimną perswazję. Ale, niestety, na sekundę przedtem, przypomniawszy sobie o mężu, a lękając się, iżby ich nie ściagał, strzela do niego zupełnie tak, jak poprzednio do skowronka. Naturalnie więc, gdy słyszy teraz perswazję i fakt, że ten, dla którego i przez którego popełniła zbrodnię, wyjechał, a żeby jej więcej nie widzieć, pada w rozpacz i omdleniu. A wtem sprowadzają na dół rannego Demetrio, — oburzeni wieśniacy pytają o mordercę, ale na piersiach Demetria znajdują list, w którym on sam siebie oskarża o samobójstwo.

Czyn ten szlachetny zniewala i przeistacza w mgnięciu oka Nelly, która u nóg lekko rannego przysięga wytrwać przy nim do śmierci. Czy wytrwa w miłości? — być może, gdyż takie temperamenta, z równą łatwością przechodzą z miłości do nienawiści i naodwrot.

Pani Mellerowa przeto przerzuciła się nagle w inną sferę — porzuciła ojcyste pola, a raczej porzuciła ojcyste stosunki i obyczaje i przeniosła się pod włoskie niebo, umieszczając pod niem dwa tylko gatunki specjalne rodzinnego kraju: owego kochanka i jego przyjaciela. Niech jej Bogowie przebaczą! — takimi gatunkami chlubić się trudno. Dowolności tej w wyborze artystycznego przedmiotu, sądzimy, iż nikt jej za złe wzięć nie może — w dziedzinie twórczości bowiem niema wyłącznych przedmiotów; wszystkie są dobre lub wszystkie są złe, — zależy to od sposobu wykonania, od tego drugiego zadania, które umożliwia bezwarunkowo pierwsze, to jest sam pomysł.

Otóż niezaprzeczenie pówinszować można autorce pomysłowości, efektownej sceniczności, nieprzechodzącej jednak w efekciarstwo jaskrawe a szukane zgóry. Scena naprzykład, gdy Nelly idzie do ślubu, a w tejże chwili za nią, schodzi z góry jej kochanek tak długo oczekiwany, jest bardzo ładnym i dobrze wyzyskanym pomysłem. Niemniej trafny i dramatyczny jest ów strzał nieszczyśny, a wydający się aż do chwili rozwiązania tak zbrodniczo bezpożytecznym!

Chwila to straszna rzeczywiście, gdy nieszczęsną dziewczyną zastrzeliła szlachetnego człowieka na to, ażeby się przekonać, że ten, dla którego taką zbrodnię popełniła, jest nędznikiem. Wszystkie jej złudzenia, marzenia, wszystkie najgorętsze modły, rozwiały się okrutnie w tej jednej sekundzie. Zaiste — moment nadający się choćby i do szerszego dramatu! Byłby on może silniejszym stokroć jeszcze, gdyby się obyć mogło bez owego strzału do skowronka. Nelly w zupełnej zgodzie ze swą krwią namiętą, bez prób poprzednich, mogła się posunąć do takiego czynu, tylko że w takim razie trudniej byłoby autorce dowieść wielkiej szlachetności Demetria, który w przewidzeniu zemsty Nelly, napisał list oskarżający samego siebie o samobójstwo.

Jeżeli w udatnym tym obrazku dramatycznym, nie tak łatwym było osiągnięcie kolorytu miejscowego, zależne, jak wiadomo, nie od akcesoryów zewnętrznych, ale o trafienia w ducha właściwej narodowości i jej podwalin religijnych, historycznych i estetycznych, to jednak owłada, w całości, widza pewien urok poetyczny, który już sam przez się na korzyść autorki przemawia.

Zarzucałibyśmy wszakże pewną oschłość czy też niedosadność w dyalogu scen kulminacyjnych, takich, gdzie słowo musi być już wyrzeźbione, lub z głębi dusze wydarte, ażeby własną siłą podniosło wrażenie, płynące ze sytuacji. Oschłość ta polega może na niedosyć starannie obrobionym je-

zyku, lub może na lekkiej jego w tych miejscach pospolitości. Dlatego też i ów dyalog przyjaciela z kochankiem, przeszedł w trywialność, zamiast być subtelnie ironicznym.

Gdybyśmy tych błędów nie wymienili, popadlibyśmy w mniemanie, że obojętny nam jest dalszy rozwój autorki na polu twórczości dramatycznej. A że tak nie jest, wskazaliśmy już przy „Fałszywych blaskach“, że zaś liczymy na nową jej pracę w najbliższej przyszłości, dlatego uważamy za konieczne, wskazać jej niezmierną trudność w samej już formie, przy traktowaniu przedmiotów wziętych całkowicie z obcego świata. Dodać trzeba, na zaletę sztuki, kilka wybornych, charakterystycznych dowcipów, np. kiedy ojciec Nelly mający *idée fixe*, że córka od niejakiego czasu źle strzela, wyrzuca jej zaraz w pierwszej chwili po zranieniu Demetria, że znowu „spudłowała“, — tym razem szczęśliwie, lub kiedy Demetrio — o czym już wyżej — grozi Maddonnie, że pożałuje gdy go nie wysłucha.

Publiczność też umiała ocenić talent pani Mellerowej, przyjmując ze współczuciem nowy ten jej utwór.

Gra artystów, niestety, nie była tu równomierna. Panna Derynżanka jako Nelly, złożyła znowu świetny dowód swego czysto-dramatycznego talentu, a pan Leszczyński (Demetrio) wtórował jej godnie.

Inni grali rozmaicie. Pan Prażmowski w roli kochanka, bardzo pięknie zaśpiewał melodyjną piosenkę, kompozytorem p. Grossmana. Cokolwiek tylko ognistej i energicznej, grać był powinien scenę z przyjacielem, którym był p. Wolski.

Niemniej pówinszować trzeba p. Tatariewiczowi, który w zastępstwie reżysera nietylko dwie nowe sztuki wystawił bardzo szybko, ale nadto „W Alpach“ inscenował umiejętnie, a scenę samą, przystroił barwnie i odpowiednio. Dotychczas zaś, niezawsze tak bywało.

O drugiej farsie tłumaczonej p. t. *Teodolinda* — niewiele powiedzieć nam wypada, nie dlatego, iżby ona była gorszą od innych tego rodzaju, owszem jest ona lepszą i szczerze wesołą, ale aż do pewnego punktu. Poza tym zaczyna się już gruby żart, nieprzyzwyczajony kalambur, przechodzący w nudy i unuzenie. Najlepszy dowcip powtarzany dziesięć razy, przestaje być dowcipem, a cóż dopiero dwuznacznik, ciągnięty przez niefortunnego autora do nieskończoności. Najpierw mówi go jeden raz, dwa razy i dziesięć razy, potem powtarza go drugi, potem trzeci, a potem wszyscy, niby motyw w jakiejś operze, przechodzący od tenora i sopranu do chórow, z tą jeszcze różnicą, że go tu śpiewają nie tak jak tam — bo *unisono*.

A wiecie czem jest Teodolinda? Tytułem sztuki, którą żona pisze pokryjomu przed mężem, nienawidzącym kobiet-literatek. Ztąd wszystkie powikłania, ukrywania się i tajemnia, bo mężowi z przejętego listu zdaje się, że „Teodolinda“ niekoniecznie jest dziećciem Muzy. Bądźco bądź, jak na niemieckiego autora, więcej tu dowcipu niżby się go po niemieckich autorach spodziewać można było.

Ale za to gra artystów, doskonała była, w całym znaczeniu tego słowa. Potrzeba widzieć p. Szymonowskiego i Ostrowskiego, ażeby, i charakterystyka ich i grą wysoce komiczną, ubawić się tak jak w dzisiejszych czasach, ubawić się trudno. Tej też grze zawdzięczać będzie rzeczona farsa, że ją jeszcze kiedykolwiek, na scenie widywać będziemy.

E. Lubowski.

LISTY Z ZAGRANICY

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Koniec roku. — Straty i nabytki. — Wszędzie bieda. — Co to będzie? — Summa roku w literaturze niemieckiej. — Zasługi naukowe Niemiec. — Podział pracy. — Niezgrabstwa. — Shakespeare dla dzieci. — P. Liebau — Jeszcze roczne sprawozdanie. — Dziennikarstwo. — Almanach Bodenstedt'a. — Waldmüller-Duboc. — *Sekundant*. — Treść jego. — Heyse: *Beppe Gwiadardz*. — Rudolf Lindau: *Chustka Czerwona*. — Miłość niema. — Nowelle P. E. Flygare-Carlen. — Spuścizna po Devrient — Dawson. — Dziennik z czasów młodości. — Levyson'a. — Z czasów pierwszego cesar-

stwa. — Ereckman i Chatrian, literaccy bracia Siamscy. — Coś z ich życia i charakterystyki.

Kończy się rok dwóch siekier, a gdy się spojrzemy nań zdaleka, smutno się jakoś przedstawia. Klimakteryczne swe groźby dosyć usprawiedliwił, stracił i my w ciągu niego ponieśliśmy wiele, zdobyć czy doliczyć się trudno. Bo mogli przybyć do których poszły zasługi wielkie, zdolności znakomite, doświadczenie zdobyte trudami długimi! Tęskno, szczególnie tym, co razem z umarłymi szli oddawna i którzy najmocniej czują osamotnienie swoje. *Dura lex — sed lex*.

Nie my jedni bolejemy nad stratami i brzemionami czasów naszych: Francja ma trudną walkę do przebycia, miotana dwoma przeciwnymi prądami; Niemcy przechodzą ciężkie przesilenie transformacyjne; Anglia widomie grzybieje i dla otyłości swej porusza się nie może; Włochy płacą długi przeszłości, aby przyszłość spokojniejszą pozyskać. Każdy ma swojego mola.

W całym społeczeństwie cywilizowanym czuć się daje jakby jakieś oczekiwanie nowej epoki, nieokreślonego czegoś, co zarówno być może chwilowym upadkiem jak i dzielnym podźwignięciem się do nowego życia.

Któż wie: czy to prawo ogólne, które po dniach żywego postępu, naznacza dni prostracy i bezsilności, nie ma się spełnić nad naszą cywilizacją? Mamy-li jeszcze siły do pochodu, czy się już one wyczerpały? Nie chcę być prorokiem.

Krytyka niemiecka, podsumowując wypadek pracy roku zeszłego, powiada: „Niepodobna zaprzeczyć, że liczba książek rzeczywiste wyborowych, udatnych, harmonijnie opracowanych, w stosunku do coraz rosnącej typograficznej produkcji, z każdym rokiem się zmniejsza, jednakże“...

Tu następuje pociecha, że, jednakże — w wielu działach przybyły prace, mające wartość niepospolitą.

Tak jest, zasług naukowych Niemcom nikt zaprzeczyć nie może: na tem polu oni się prześcignąć nie dają; gdy w utworach fantazyi, imaginacyi, natchnienia, kunsztu — narody mniej nawet wykształcone są od nich szczęśliwsze.

Niemiec, wybrawszy przedmiot, który chce studiować, gromadzi niezmierną ilość erudycyi około niego, ściaga co tylko jest z nim w związku, bada i świdruje do gruntu, a ostateczny wynik żelaznego trudu zawsze ma wysoką wartość — materiału.

Tę rudę złotodajną bierze Anglik, Francuz, Włoch, bodajby nawet pogardzony Słowianin, i tworzy z niej dzieło, którem się świat zachwyca. A tego Niemcy zrozumieć nie chcą, że w wielkiem dziele cywilizacyi narody mają tak dobrze podział pracy, jak robotnicy w fabryce, i że żadną siłą pogardzać się nie godzi. Historia postępu Europy jest nierozgmatwana może dotąd historia współki narodów, co walczą nawet z sobą krwawo, wzajem pracowały około wielkiego dzieła.

Niemcom wyznaczyła natura ich organizacyi zagony naukowy i skarżyć się nie mogą, aby w podziale pokrzywdzeni zostali. Gdy z niego schodzą: miewają wybryki i pomysły — Boże odpuść!

Do takich-bym zaliczył Shakespeare'a ułożonego — dla dzieci! Pan Gustaw Liebau z wielką pracą i mozołem zrobił z teatru pierwszego poety nowych czasów, powiastki dla dorastającego plemienia! (*Erzählungen aus der Shakespeare-Welt*).

Więszego świętokradztwa i nonsensu popełnić nie było podobna. Jestto coś naksztalt befsztuku zrobionego z kartofli.

Shakespeare musi być całym, jak jest, lub nie będzie sobą. Jakaż gwałtowna potrzeba zmuszała dawać za pokarm dzieciom to, co ich wiekowi wcale nie przystało? Tak samo piszą się tu poemata o filozofii i piosnki fizyologiczne!

Roczne sprawozdanie, z któregośmy wyżej przytoczyli wyjątek, przyznaje, że rok 1876, który wydał „Markusa Königa“ (Freytaga), „Sturmfluth“ (Spielhagen'a) był szczęśliwszym, że w roku 1877 Gutzkow'a *Neue Serapionsbrüder*, Gotschalla *Welke Blätter* i inne produkuje tego rodzaju serca bardzo nie rozgrzały. Zato przedruków wyszło mnóstwo: Grün'a, Reuter'a, Herder'a (Suphan); studyów nad poetami złotej epoki — bez końca.

Jak u nas, tak w Niemczech dziennikarstwo potroszę pochłania literaturę. Słyszymy narzekania

na to oddawna; są one w części usprawiedliwione; lecz to, co dziennikarstwo odbiera może literaturze, wynagradza sownie rozpowszechnieniem, jakie jej daje, a którego ona nigdy nie miała.

Do rzędu prawdziwie niemieckich niezgrabstw zaliczyć można w chwili właśnie takiego rozrostu dziennikarstwa wydawanie noworoczników, które racyi bytu nie mają. Taki przestarzały formy almanach, złożony z wszelakiego rodzaju wchodzących do tego rodzaju pasztetów ingrediencji, wydał zasłużony i utalentowany, a na ten raz nieszczęśliwie natchniony, Friedr. Bodenstedt, pod tytułem: „*Kunst und Leben*“.

Złożyli się nań poeci, powieściopisarze i popularyzatorowie; są w nim rzeczy wyborne, ale, mimo to, noworocznik nie idzie. Może tej sztuce, która stoi na tytule, dano w nim zamało miejsca. Ilustracje są piękne, ale ich szepuło. (Sześć!)

Pomiędzy współpracownikami tego almanachu i drugiego, na cel dobroczynny, wydanego w Dreźnie, znajduję imię mego towarzysza podróży do Szwecyi, wielce utalentowanego powieściopisarza Waldmüllera-Duboc, którego nie trzeba za jedno brać z bratem jego Juliuszem, piszącym zupełnie w innym rodzaju i w innych przedmiotach.

Wyszła w osobnej odbitce jego oryginalna powieść *Sekundant* (Breslau S. Schottlander), o której kilka słów powiemy. Jest to obrazek z natury, malujący społeczeństwo niemieckie teraźniejsze, jedną jego stronę przynajmniej, z tą wyrazistością typów, jakie Waldmüller umie zawsze wyprowadzać na scenę w swych opowiadaniach. Cały tytuł brzmi: „*Sekundant z dziennika genealogisty*“ (*Der Sekundant aus dem Tagebuche eines Genealogisten*).

Ten genealogista przybywa z polecenia wyższego, objeżdżając dwory szlacheckie dla zbierania materiałów do historyi szlachty w jednej z prowincyj anektowanych—do zamku Mühlendorf, własności barona Z. Baron, żona jego, córka, młody wisus wychowaniec, który ma być mężem panny, dla utrzymania majątku w rodzinie, nauczyciel domowy: wszystkie figury tego wiejskiego kółka—odmalowane z realizmem przyzwoitym i dowodzącym talentu obserwacji niepospolitego. Najbardziej jednak jest Baron sam, grający rolę potomka arystokratycznej rodziny, której szereg portretów zajmuje całe ściany jadalnej sali. Wzdrga się on początkowo z zakomunikowaniem wędrownemu genealogiście papierów swych i drzewa genealogicznego, z powodów trudnych do wyrozumienia—przez delikatność, aby sąsiadów mniej w szlachecko bogatych nie upokarzać. W końcu jednak drzewa występują aż dwa i okazuje się, że między starem i nowem jest jakaś niezgrabnie załatwana próżnia. Sumienny badacz ją wykazuje. Baron, któremu się zdaje, iż ma do czynienia z człowiekiem, mogącym się dać ująć, niezgrabnie bardzo stara się go sobie pieniężną ofiarą pozyskać. Za pośrednika używa wisusa kuzyna, który sam potrzebując bardzo pieniędzy, pierwszy datek anektuje, i tem ośmiela do drugiego, znacniejszego. Ztąd—awantura, wybuch obrażonego genealogisty i—wyznanie Barona, że on wcale do owego starego rodu, po którym kupił posiadłość i portrety, nie należy, że jest ubaronizowanym mieszczaninem świeżego pieczywa.

W czasie gdy się to rozgrywa, między gospodarzem i gościem, sąsiad Barona, szlacheć czystej wody, podpadły materialnie i moralnie, podpatrzywszy, w przejeździe około Mühlendorfu, jakąś schadzkę wieczorną, odzywa się publicznie z nieprzyzwoitem szyderstwem. Następuje wyzwanie, i genealogista musi służyć za sekundanta. Wszystko to, po rozmaitych przejściach, kończy się tem, że Baron, któremu się naprzykrzyło udawanie szlacheć, sprzedaje Mühlendorf i wynosi się tam, gdzie spokojnie będzie mógł być sobą. Córka wychodzi za gubernera, wisus powraca na łono rodziny własnej, a drzewa genealogiczne idą—nie wiem gdzie.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECJ.

Stowarzyszenie niesienia pomocy ubogim kobietom, założone przez panią Emilią Lewenbergową,

wą, a składające się z pań wyznania Mojżeszowego, uradziło na ostatniem swem zebraniu założenie szwalni, w której udzielano bezpłatnie naukę szycia bielizny i krawieczyzny osobom ubogim, a uzdolnionym już szwaczkom dostarczano roboty. Koszta utrzymania szwalni, obliczone na 1,000 rs. rocznie, przyjęły na siebie panie stowarzyszone, przez podwyższenie składanych dotąd na cele stowarzyszenia składek. Komitet zawiadujący zakładem składa się z pań: Lewenbergowej, Baumanowej, Eleonory Lewiowej, Elizy Bernsteinowej, Lionowej, Reginy Lesmanowej. Prezjdującą jest p. Lewenbergowa, od której wyszedł projekt tego, rzeczywiście pożytecznego, zakładu, pożytecznego w tym roku szczególnie, gdy brak roboty i utrudnione drożyzną środki utrzymania dają się ciężko uczuć klasom niezamożnym. Stowarzyszenie to jest pierwszym u nas stowarzyszeniem kobiet w tym kierunku, i ztąd należy mu się słowo wysokiego uznania. Dobroczynność, która nędzę uprzedza i w miejsce jałmużny daje pracę, jest najszlachetniejszą pojętą, najrozumniejszą działającą dobroczynnością. Cały ogół pracy kobiecej u nas potrzebuje i oczekuje zgarnięcia go pod opiekę i kierunek jednolity, a który danym mu być może tylko przez stowarzyszenie kobiet dostatek, spieszących z obowiązkową usługą siostrzaną pomocy dla kobiet niezamożnych i pracy poszukujących. W przyszłej kronice podamy bardziej szczegółową wiadomość o warunkach, na jakich opiera się wyżej wspomniane *Stowarzyszenie niesienia pomocy kobietom ubogim*; jakim jest jego statut; jak szerokim krąg jego działania?

Do dwóch szkół drzeworytniczych dla kobiet, a mianowicie: przy drzeworytni pp. Styfi i Zajkowskiego (ulica Chmielna), oraz przy drzeworytni Warszawskiej (Białańska, hotel Lipski), ma przybyć trzecia, założona przez pannę Józefę Kluzińską. P. Kluzińska otrzymała na ostatniej wystawie pracy kobiecej znak, odpowiadający złotemu medalowi za drzeworyty maszyn rolniczych, a ten dział drzeworycie rysunków technicznych, stanowi jej specjalność, w której doszła do bardzo zadawalniających rezultatów, jak tego dowodzi przyznany jej przez komitet wystawy znak najwyższego odznaczenia. P. Kluzińska jest uczennicą p. Krzyżanowskiego, u którego zaczęła się kształcić przed ośmiu laty, przedstawia zatem jedną z najtrwalszych pracowni na tem polu, na którym mało kobiet naszych doszło do pożądanego celu. Różne są tego powody: koszta dokładnej nauki rysunku, zawsze znaczne, gdy je trzeba pobierać prywatnie, następnie koszta należytego wykształcenia się w drzeworytnictwie, które wymaga pewnego czasu, za czem zysk przynosić może, przycem często się zdarzające sforsowanie wzroku, policzyc tu trzeba między przyczyny sprawujące, że mimo szkół drzeworytniczych dla kobiet, jakie już przed kilkunasty laty w Warszawie istniały, a liczyły zawsze po kilkanaście uczennic, bardzo małym jest zastęp przedstawiających się obecnie pracowni. Kobiety podnosiły wprawdzie skargi, że trudność znalezienia roboty jest przyczyną, dla której muszą rzucić zawód obrany; w tej gałęzi przecież, w której praca dokonywa się prywatnie, w domu, a w której zdolność jedynie rozstrzyga, powód musiał być inny: brakować musiało należytego uzdolnienia, uzdolnienia takiego, jakie przedstawiał mężczyzna, i kobieta nie zdołała wytrzymać konkurencyi. Drzeworytnictwo nasze jest stosunkowo sztuką świeżym, bo zaczyna się ono od r. 1858, to jest od wydawnictwa *Wolnych żartów*, pierwszego u nas ilustrowanego pisma. Sztycharz tutejszy Münchheimer, sprowadził wtedy dla potrzeb pisma zdolnego francuzkiego drzeworytnika, Delache, pod którego kierunkiem wykształcili się pp. Styfi i Krzyżanowski. W roku potem, bo w 1859 r. zaczął wychodzić *Tygodnik Ilustrowany*, wydawca tegoż, Unger, sprowadził z Niemiec: braci Röberów, Smitha, Köblera, Hellego i Millera, a drzeworytnia *Tygodnika Ilustrowanego* stała się szkołą, z której wyszedł cały zastęp zdolnych pracowników. Zatem drzeworytnictwo nasze liczy zaledwie 22 lat istnienia, a ustępuje zaledwie angielskiemu, które się uważa za najdoskonalsze, i francuzkiemu, które zaraz po niem się mieści, stanowczo zaś wyższem jest od niemieckiego i włoskiego, które po niem dopiero idą, jak przekonała

Wystawa Wiedeńska, gdzie drzeworytnictwo nasze trzecie z porządku miejsce zajęło. Kobieta nasza dostała stosunkowo bardzo prędko możność kształcenia się w tym artystycznym zawodzie, gdyż prawie jednocześnie z przyjęciem się u nas drzeworytnictwa, a to poczynając od 1862 roku, zaczęły się otwierać dla niej wyłącznie przeznaczone szkoły: Smitha, Styfięgo, panny Moniuszkównę, uczennicy pana Krzyżanowskiego, które przecież nie przysposobiły tak kobiet, aby zajęły w tej gałęzi pracy miejsce, jakie w niej zajmują kobiety gdzieindziej, szczególnie w Anglii. Zaczyna się to przecież obecnie; komitet wystawy kobiecej przyznał również znak odpowiadający złotemu medalowi pannom Orłowskim: Annie i Heleni, za drzeworyt z *Tygodnika Powszechnego* „Przysługa siostrzyczki“. Pp. Orłowskie pracują już w tym kierunku od lat pięciu. Poświęciwszy nauce rysunku, udzielanej im przez pp. Alhimowicza i Kotarbińskiego, lat dwa, rozpoczęły przed trzema laty właściwą naukę drzeworytnictwa w szkole przy Drzeworytni Warszawskiej, pobieraną początkowo od p. Bajarskiego, a obecnie Chełmińskiego, przedstawicieli Drzeworytni Warszawskiej. Kształcą się jeszcze, pp. Orłowskie pracują już samodzielnie w Drzeworytni Warszawskiej i dla kilku pism ilustrowanych, a zamówień mają tyle, że zajmują jeszcze dwie pomocniczki, a zysk, jaki im praca ta przynosi, potraciwszy wynagrodzenie pomocnic, miesięcznie dochodzi do 90 rs. Wprawdzie dodać tu trzeba, że pracują dziennie około 10 godzin, co jest już pracą mozolną, szczególnie w porze krótkich dni zimowych, gdy trzeba się jej oddawać przy świetle. Do uzdolnionych drzeworytniczek zaliczyć jeszcze trzeba: p. Helenę Boguską, której drzeworyty znajdujemy w Albumie Willanowskim, a która jest uczennicą pana Dyamentowskiego, oraz p. Ballach także wykształconą pod kierunkiem p. Chełmińskiego i p. Baczewską uczennicą pana Zabłockiego, która pracuje w filii Drzeworytni Warszawskiej w Petersburgu.

Lekeye drzeworytnictwa udzielają się jeszcze za wytworzeniem się stosownego kompletu w zakładzie *Połączonej pracy kobiet* przy ulicy Marszałkowskiej i w *Zakładzie rękodzielniczo-przemysłowym* p. Łojki na Zielonym placu, ale taka nauka prywatna zmusza następnie do szukania pracy o własnych siłach, gdy wyżej wymienione szkoły zapewniają następnie uzdolnionym należyte uczennicom robotę, a co jest niemniej ważną rzeczą, dają pewne już rękojmię, że kształcenie odbywać się będzie pod dobrym kierunkiem i na dobrych wzorach.

Przełożona *Pracowni kobiet* we Włocławku, p. Agnieszka Buflę podaje do wiadomości publicznej, że po sześcioletniem kierownictwie tym zakładem, a trzydziestoletniej pracy na polu nauczycielstwa wogóle, pragnie zakłać swój zbyte. Nim to nastąpi, nauka w zakładzie odbywać się będzie z rokiem bieżącym po cenie niższej, a mianowicie: opłata wpisowego wynosząca od pensjonarek rs. 25 znosi się, a za utrzymanie i naukę w zakładzie pobierać się będzie miesięcznie rs. 18. Przychodnie zaś za naukę kroju sukien płacić będą miesięcznie rs. 8, za naukę buchhalteryi, kwiatów, strojów i rzemiosł, tylko połowę ceny dawnej, której cyfra, w przesłanem redakcyi naszej ogłoszeniu, wymienioną nie została.

Wzruszającą jest odezwa, zamieszczona przy wspomnionem ogłoszeniu, a zwracająca się do kobiet naszych o stowarzyszenie opieki nad pracą kobiecą. Sześcioletnia praktyka w sterowaniu szkołą fachową i pracownią kobiet, jakkolwiek połączona z mnóstwem trudów i zawodów, nieodłącznych od wszelkiego początku, wszelkiego pionierstwa, dała przecież szanownej przełożonej Włocławskiego zakładu przekonanie, że szkoły rękodzielnicze mogą i powinny rozwinąć się u nas, że pożyteczne dla praktycznego wykształcenia kobiety wogóle, byłyby dobrodziejstwem dla mniej zamożnych, pracy jako zarobku potrzebujących a znaleźć jej nie mogących. Przeciż usiłowania, dotychczas w tym kierunku łożone czysto prywatnie i środkami odpowiedniami nie rozrządzające, nie mogą podać zadaniu. Trzeba pomocy i opieki, trzeba stowarzyszenia, któreby poparło dobre chęci jednostek. „Niech w każdym mieście większem—pisze p. Buflę—założoną zostanie taka szkoła (re-

godzielnie-przemysłowa), a nędza rodzin, nędza kobiet samotnych stopniowo znikać będzie, dobrobyt i moralność zacznie się coraz podnosić i wzmacniać z pociechą serc szlachetnych“.

Usuwanie się sama z widowni czynnej w tym zakresie, p. Bufile odzywa się tem śmieiej, że bezinteresownie, i głos jej nabiera podwójnego znaczenia. Żąda wreszcie rzeczy, o której rzeczywiście pożytku wątpić nie można, jak nie można wątpić o dobrych chęciach, o dobroczynnym usposobieniu ogółu kobiet marszałkowskich. Potrzeba tylko ujęcia ich i ześrodkowania — tych dobrych chęci, tych uczuć pocziwowych, a mamy przekonanie, że dzieło zacne, dzieło wysokie dla kraju znaczenia, weszłoby w życie szczęśliwie, rozwinęło się pomyślnie. Stoi w tej chwili otwarte pole dla dokonania szlachetnego czynu, pozyskania niezapomnianej zasługi.

P. Nowacka, prowadząca we Włocławku zakład introligatorski, zawiadamia, iż mylną była podana w piśmie naszym wiadomość, jakoby pobierała naukę rzemiosła swego w *Pracowni kobiet* we Włocławku. P. Nowacka uzdolniła się do zawodu swego poza krajem.

Również potrzeba nam sprostować niedokładność, która zakradła się w sprawozdanie z Wystawy pracy kobiet (Nr. 45 Bl.) odnośnie do miejsca zamieszkania p. Wolskiej, wystawczyni jednego z cennych w gospodarstwie kobiecem okazów, bardzo dobrej żelatyny. P. Wolska mieszka nie przy ulicy Marszałkowskiej, jak to błędnie podały wszystkie niemal pisma, ale we wsi Marszałkowskiej, o milę od Niszawy, stacyi kolei Warszawsko-Bydgoskiej. P. Wolska podnosi też głos w kwestyi, którąśmy rozstrząsnęli pań naszych wiejskich we wspomnionem sprawozdaniu z wystawy przedstawili, a mianowicie, czy ceny podane przez panów Wróblów, przypozwanych przez komitet wystawy w charakterze przedstawicieli warszawskiego przemysłu, odpowiadają wymaganiom producentek? Otóż pani Wolska odnośnie do swego przedmiotu: odpowiada, że żelatyna płacąca się w sklepach Warszawskich po zł. 12 za funt, za tanio ocenioną została po zł. 5 za funt, a to tem więcej, że wyrób przedstawiony w okazie przez nią nadesłany, uznanym został za bardzo dobry. Gdyby szczęśliwa myśl założenia sklepu zjednoczonych gospodyń przysłała do skutku, gdyby zamiar ten dobry nie pozostał na długo zamiarem jedynym, rzecz uregulowałaby się najlepiej na drodze praktycznej, ułatwiając kompromis między produkcją krajową a kupcem. Sklep nie może ofiarować fabryce cen takich, po jakich towar na zbyt publiczny idzie, fabryki przecież istnieć nie mogą bez odpowiednich zysków, z przedsiębiorstwa swego ciągłych. Odnośnie do przedmiotu trzeba się dowiedzieć po jakich cenach handel zaopatruje się w żelatynę zagranicą? Pani Wolska nie zamierza wyrabiać żelatyny na sprzedaż, wyrób jej ogranicza się do potrzeb domowych, niemniej przecież w interesie naszego przemysłu i jego rozwoju należy się przekonać po czyjej stronie jest słusność, i postaramy się o to. Sądźmy, że p. Wolska ze względów obywatelskich na dobro przemysłu krajowego, nie odmówiłaby nauki wyrobu żelatyny, gdyby pragnąca jej osoba zgłosiła się do niej z prośbą o to.

Moeno obchodzące kobiety wykłady, rozpoczęły się w Muzeum przemysłowo-rolniczem zeszłej soboty pierwszym odczytem p. Wojciecha Gersona: o rysunku ornamentalnym w zastosowaniu do przemysłu. Serya cała obejmować będzie odczytów 12. Współcześnie odbywać się tam będą odczyty pana Jankowskiego w liczbie 16: o sadzie i ogrodzie, rozpoczęte dnia 3 Stycznia. Rzecz jak wykazuje program, podany przez *Kuryer Warszawski*, w sobotę (dnia 29 Grudnia r. z.) będzie tak zasadniczo i gruntownie traktowana, że nie dziwilibyśmy się bynajmniej, gdyby odczyty w tak ważnej gałęzi

gospodarstwa ściągnęły do Warszawy panie z bliższych okolic. Zjeżdżano się i zjeżdża jeszcze dotąd do miasta na zabawę; wartoby zjeżdżać się na naukę.

Muzeum Przemysłowo-rolnicze skarbi sobie nową zasługę i nowe prawo do wdzięczności ogółu. Więcej i wcześniejszych ogłoszeń pozwoliłoby przecież szerszemu kołu czerpać z nauki, którą pragnie rozprzestrzeniać. Program wykładów pana Jankowskiego, ogłoszony przed miesiącem, sprawadziłby niewątpliwie niejedną słuchaczkę ze stron dalszych.

RUCH MUZYCZNY.

W porze przedświątecznej nie kwitnie zwykle muzyka — pora to, w której inne bądź praktyczne, bądź rodzinne względy zatrzymują w domu mieszkańców i nie pozwalają im z zupełną swobodą oddawać się czysto-estetycznym wrażeniom. Dlatego też nie można się dziwić, że zapowiedzianych w owej epoce parę koncertów nie przyszło do skutku. Najbardziej może z nich wszystkich żałujemy zaniechania zapowiedzianego koncertu p. Trzeszczkowskiej w Resursie obywatelskiej. Mimo kilkokrotnego już wystąpienia artystki w Warszawie, wyznajemy, że szczerze pragnęlibyśmy usłyszeć ten piękny głos w tej sali, gdzie zdaje się, żeby się był wydał najlepiej. Zresztą, nie przesądzając przyszłości, która może do wielkiego już talentu dodać nowe blaski, sądźmy, że dziś p. Trzeszczkowska jest wyłącznie *koncertową* śpiewaczką, i na estradzie większe musi robić wrażenie niż na scenie, a to z powodu rodzaju swego talentu, tak usposobionego do cieniowania, a nie dość jeszcze wyrobionego co do efektów śmiałych i imponujących. Scena potrzebuje obycia się, rutyny.... Kto wie jednak czy Dyrekeya Teatrów nie powinna była zatrzymać gwałtem pannę T. u nas, aby jej właśnie dać tę rutynę, i może za rok lub dwa z wybornej koncertowej śpiewaczki uczynić prawdziwą Fides, niezmówną Azucenę... Dziś, żegnając się z sympatyczną i pełną poezyi artystką, z żalem wyznaczymy, że nie wiemy, kiedy znów do nas zawita.

Innym, odłożonym również na Styczeń koncertem, był VI-ty koncert symfoniczny Apolin. Kąskiego. Wnosząc z różnych zapowiedzianych projektów, możnaby przypuszczać, że Styczeń zaleje nas powodzią muzyki, oprócz oprócz miejscowych talentów, mają zjechać: panie Donadio, Artôt-Padilla, Jaëll, Henryk Wieniawski, sławna rodzina Menter-Popper i t. d.

Panna Natalia Janotówna, grą swą, w wysokim stopniu poprawną i artystyczną, niemało się przyczyniła do uświetnienia V-go koncertu symfonicznego. Odegrała dzieło wspaniałe, bo V-ty koncert Beethovena (*Es dur*). Finale było pełne życia — Adagio, a szczególnie pierwsze Allegro, miały go trochę zamało. W ogóle, młoda artystka zdaje się być jeszcze pod wrażeniem: wybornych wprawdzie, ale zawsze kępujących cokolwiek jej indywidualności, wpływów. Rzekłbyś, że nie śmie jeszcze rozwinąć skrzydełek i polecieć... a wartoby spróbować! Jest w tej grze wiele wdzięku i naiwności, jest jakaś cześć dla sztuki — są to więc materiały, z których może się z czasem utworzyć odrębność wiele wybitna.

Z innych numerów wspomnionego koncertu symfonicznego, wielce zajmująca była pieśń *Boga-Rodzica*, wykonana przez chór, jak zwykle wzorowo, w układzie na głosy, zapewne nowożytnym.

Jedno z najmiłszych wspomnień zostawiły nam w duszy cztery wieczory muzyce klasycznej poświęcone, a urządzone w Resursie kupieckiej przez

pp. Wieniawskiego, Trombiniego, Portena, Myszkowskiego i Górskiego. Zgromadziły się tu w istocie najlepsze siły, i to w takim komplecie, z jakiego, niestety, Towarzystwo Muzyczne korzystać nie może, z powodu wiadomych powszechnie okoliczności. Ta-to przyczyna najzupełniej usprawiedliwiała wybór innej miejscowości. Drugą przyczyną była zapewne dobra akustyka i niewielki stosunkowo obszar sali Resursy kupieckiej, w której muzyka kwartetowa brzmi doskonale. Znamcy tego delikatnego rodzaju muzyki mogli się zachwycać mistrzowskim wykonaniem nieśmiertelnych dzieł, wystudowanych widocznie *con amore*. W tym nadzwyczaj trudnym, bodaj najtrudniejszym, twórczości rodzaju, równie ważną rolę dwa wprost przeciwnie odegrywają czynniki. Interes z powodu gry różnych instrumentów powinien być ciągle utrzymywany, a mimo to, wszystko winno być jasne i przejrzyste. Haydn, Mozart i Mendelssohn w tem celują; toż samo Beethoven w początkowych kwartetach. Inni mistrzowie nie zawsze równie jasno się tłómaczą. W kwartecie p. Żeleńskiego (granym również na wspomnianych wieczorach) cokolwiek ten brak przejrzystości czuć się daje, lubo są wszędzie wielkie piękności. Waryacje, oraz ustęp z surdynekami w Scherzu, odznaczają się nawet wybitną oryginalnością. — Do również pięknych dzieł zaliczyć możemy chór konkursowy na głosy męskie p. Żeleńskiego, wykonany wybornie na koncercie danym przez p. Jana Mellera. Koncert ten, na którym z wielką znajomością rzeczy i smakiem, dobrano najświetniejsze rzeczy, nie przyciągnął jednak tyle publiczności, ileby po 35-letnich zasługach p. Mellera spodziewać się należało. A jednak z jednej strony i poczucie pewnej wdzięczności, z drugiej perspektywa przepędzenia nadzwyczaj miłego poranka, powinna była więcej osób zachęcić. Szczególniej *nowości* było wiele, i to bardzo dobrych. Oprócz wspomnionego wyżej chóru, wykonano chór kompozycji Wienca p. t.: *Ojciec nasz*, dalej Kantilenę z op. *Cinq-Mars* Gounoda, odśpiewała z wdziękiem panna Matuszyńska; p. Filleborn śpiewał romans z *Hamleta* Thomasa, p. Jakowicka arya z op. *Król Lahory* Masseneta; nareszcie wykonano kwintet z opery *Lohengrin*, o której przedstawieniu na serjo myślą w Dyrekeyi. Myśl to wyborna — bo ta opera najbardziej mi się zdaje stosowną dla publiczności Wagnerem nieoswojonej. Text prześliczny, muzyka pełna ustępów cudownych, i lubo technąca już teoriami reformatorskimi, przecież nie posuwająca ich do ostateczności, i z tego względu dla ogółu dość przystępna: oto co za *Lohengrinem* przemawia. Ale czy podolały tak wielkiemu zadaniu? — To już należy zostawić przyszłości. *Audaces fortuna juvat*.

Pani Jakowicka nowe i świetne laury zbierała w *Hugonotach* a oprócz tego zbierał je i pan Wasilewski, który rolę Marcela odtworzył z wielkim poczuciem. Dla ogółu naszych artystów, opera to zaciężka; jednakże dzięki im się należą za to, żeśmy za ich sprawą to areydzioło znów posłyszeli. Słuchając „Roberta Dyabła“ i „Hugonotów“ i porównując je z ostatnimi dziełami Wagnera, przyjąć musimy do przekonania, że rozumnie i dobrze rozwinięty talent więcej stworzyć nieraz może, od opaczna drogą kroczącego geniuszu!

Jan Kleczyński.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 1 i 2-gi powieści pod tytułem: Zamek Daly.

TREŚĆ. Szczęście, (poezya). — Pogawędka. — Sąsiedzi, przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencja zagraniczna (Lwów). — Przegląd teatralny, przez Edwarda Lubowskiego. — Listy z zagranicy, przez J. I. Kraszewskiego. — Kronika działalności kobiecej. — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego.